



**SIMONA
KOSSAK**



SAGA
PUSZCZY
BIAŁOWIESKIEJ



**SIMONA
KOSSAK**

**SAGA
PUSZCZY
BIAŁOWIESKIEJ**

MARGINESY

Simona Kossak była biologiem z wykształcenia i leśnikiem z zamiłowania, krakuską z urodzenia i białowieżanką z wyboru. Ukończyła studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego ze specjalnością psychologa zwierząt, a kolejne stopnie naukowe od doktora po profesora zwyczajnego otrzymała w dziedzinie nauk leśnych. Urodziła się i wychowała w Krakowie w Kossakówce, skąd po otrzymaniu dyplomu magistra przeniosła się do Białowieży. Ponad trzydzieści lat mieszkała w głębi Puszczy Białowieskiej, w starej leśniczówce o pięknej nazwie Dziedzinka. W życiu prywatnym była towarzyszką życia znanego fotografa przyrody Lecha Wilczka. Pracowała w Zakładzie Lasów Naturalnych Instytutu Badawczego Leśnictwa, gdzie badała zachowania dziko żyjących ssaków leśnych oraz ich ekologiczne relacje ze środowiskiem. Oprócz tego inwentaryzowała liczebność oraz skład populacji ssaków łownych i chronionych, przez co aktywnie pomagała leśnikom w racjonalnym zarządzaniu zwierzozostaniem i ochronie gatunków rzadkich.

Simona Kossak była córką Jerzego, wnuczką Wojciecha i prawnuczką Juliusza – trzech malarzy batalistów rozmiłowanych w koniach, oczystym krajobrazie i w polskiej historii. Była bratanicą poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz pisarki Magdaleny Samozwaniec. Jej stryjeczną babką była Zofia Kossak-Szczucka, autorka powieści historycznych.

„Obciążenie genetyczne”, odebrane wychowanie oraz prężność i miłość do zwierząt spowodowały, że zajmowanie się badaniem przyrody i publikowanie suchych prac naukowych nie wystarczały jej do szczęścia. Pełnię satysfakcji dała

dopiero działalność popularyzatorska na rzecz ochrony przyrody. Była autorką kilkuset artykułów, których intencją było „łagodzenie obyczajów”. W 1995 roku ukazała się jej książka *Opowiadania o roślinach i zwierzętach*. Autorka Sagi ma na swoim koncie też dziesiątki audycji radiowych i telewizyjnych oraz konkretnych działań na rzecz przyrody. Jak sama mówiła – jedyne malarstwo, z jakim sobie świetnie radziła, to pokrywanie jednym kolorem gładkiej ściany mieszkania. Dlatego w pewnym momencie wzięła do ręki kamerę – za swoje amatorskie filmy przyrodnicze otrzymała krajowe i międzynarodowe nagrody.

Saga Puszczy Białowieskiej powstała w intencji spłacenia długu: jest nim trzydzieści szczęśliwych lat przeżytych przez autorkę u Pana Boga za piecem – w zielonym raju, w Puszczy Białowieskiej.



Simona Kossak z rysiem w Puszczy

Nad wszystko, co w dzikiej przyrodzie,
co żyje, oddycha i śpiewa,
nad wszystko, co kocha i tęskni,
miłuję leśne drzewa...

A gdy już usnę na wieki,
niech sen mi się przyśni królewski...
Niech mnie kołysze do marzeń
szum Puszczy Białowieskiej.

Julian Ejsmond

Wstęp



Puszczą, A. Grottgger

Puszczą Białowieską umiera. Wśród drzew przemyka okryta mgłą postać dzierżąca kosę, lecz u jej stóp nie czai się już ryś skośnooki, nie wyciągają ramion pokrzywione kolosy lip i wiekowe dęby.

Nad konającą pochyla się z troską konsylium leśników i uczonych. Znają chorobę: na imię jej las. Gorzka to wiedza, że śmiertelnym zagrożeniem dla puszczy jest chluba człowieka – las zagospodarowany.

Im więcej wysiłku wkładają w swą pracę leśnicy, tym szybciej puszcza umiera. Bezwzględny las – zadbany, czysty, produkujący drewno i użytki uboczne – nienawidzi puszczy, pożera więc miejsce po miejscu dziką i wolną przyrodę. Z każdym zgrzytem piły usuwającej nieprzydatne dla lasu drzewo, z każdym konarem spalonym, by nie zakłócał porządku w lesie, z każdym rzędem równo posadzonych sosenek, z każdym wypielęgnowanym młodnikiem – puszcza słabnie. Jej dusza wygnana z próchniejącego pnia płacze w ostatnich ostojach.

Jesteś wśród drzew, lecz brak tu Perkuna, nie ukorzysz się przed świętym dębem przodków, nie usłyszysz rozmowy dzikich pszczoł z dziuplastą lipą, nie pochylisz głowy przed majestatem miejsca, z którego pochodzisz: przed puszczą słowiańską. Ona umiera.

Śmierci jest tysiąc: giną ciche, nieważne, pozbawione domu żyjątki i kolejne pokolenia drzew – nie ze starości, lecz z wyroku lasu. Serce ci pęka, a puszcza umiera.

Uczeni znają chorobę, potrafią ją leczyć, chcą puszcze zachować. Recept jest kilka, lecz każda uderza w las. Konsylium dzieli się i sprzecza, padają zarzuty, obelgi. Czas płynie, puszcza umiera. Ambicje, urazy, sprzeciwy. A puszcza umiera. Uczeni, praktycy, eksperci. A puszcza umiera. Programy, koncepcje, wytyczne. A puszcza umiera. Narady,

decyzje, dokumenty. A puszcza umiera. Polityka, wpływy, interesy, pieniądze, pieniądze, pieniądze.

Puszcza umiera!

Przed laty przy wjeździe do Białowieży uczeni ustawili na cokole głaz narzutowy ze stosownym napisem ku czci Puszczy Białowieskiej. To kamień nagrobny.

Wstrząśnięta szybkością i rozmiarem wycinania białowieskich starodrzewów, na łamach „Gazety Wyborczej” w czerwcu 1992 roku opublikowałam esej *Śmierć Puszczy*. Gdziekolwiek bowiem spojrzeć, powiększały się otwarte przestrzenie upraw mających w dalekiej przyszłości wyrosnąć w zwyczajny las gospodarczy, ze starodrzewów wybierane były masowo dorodne, zdrowe dęby i świerki, sosny i jesiony, a ciężki sprzęt dewastował dno lasu.

Wywożenie tysięcy pni z lasu naturalnego i sadzenie w rzędkach sztucznie wyhodowanych sadzonek, by je po upływie określonego czasu wywieźć w postaci drewna – to nieuchronna śmierć puszczy. Żyje ona bowiem dopóty, dopóki wyrasta z prochów poprzednich pokoleń, a cykle narodzin i naturalnej śmierci trwają nieprzerwanie tysiące lat. Dziś w Europie jest tylko jedno takie miejsce: osłabione, oszpecone, ale z wciąż jeszcze zachowaną siłą do samoodradzania się po zniszczeniach – Puszcza Białowieska.

Las wyhodowany przez człowieka tak się ma do puszczy, jak krowa do żubra, jak kundel wiejski do wilka, jak Puszcza Notecka, Kampinowska i Niepołomska do Puszczy Białowieskiej. Jak tombak do złota. Ona – ogromna, dzika i wolna – nie potrzebuje nas, by trwać przez dalsze tysiąclecia, nie potrzebuje naszych pił i rachitycznych sadzonek...

Rzesze uczonych i miłośników przyrody od lat apelują do władz o objęcie konserwatorską ochroną całej polskiej części Puszczy. Za wzór do naśladowania stawiają dawnych władców, którzy, już od czasów Jagiełły, otaczali Puszcze opieką, dzięki czemu jej przyrodnicze skarby prawie nienaruszone przetrwały do naszych czasów.

Zapraszam więc na daleką wędrowkę. Nie w przestrzeni, a w czasie. Podczas lektury zostaniemy bowiem w Puszczy Białowieskiej, a przed naszymi oczami przesuwają się będą tysiąclecia, setki i dziesiątki lat. Obrazy, które ujrzemy po drodze, zaprzeczają piewcom legendy o do-

brych dawnych czasach, polskich królach rozmiłowanych w Puszczy Białowieskiej i ich szlacheckich poddanych. Prawda ukryta na kartach kronik, pamiętników i w dokumentach historycznych jest mniej budująca: miejscowa ludność zawsze miała za nic majestatyczne piękno Puszczy i tylko patrzyła okazji, by z niej czerpać pełnymi garściami. Każda zawierucha dziejowa – wojna, zmiana przynależności państwowej, jak też upodobania kolejnych panujących, hołdowanie modom, szukanie sposobów zapewnienia skarbcu czy zyskania przychylności możliwych tego świata, od zarania polskiej historii aż do dziś – uderzała w Puszcze Białowieską.

To, że jeszcze nie podzieliła losu innych puszczy, po których zostały tylko nazwy, wynika z jej – zda się niewyczerpalnych – sił życiowych, ze straszliwego haraczku płaconego łowcom zwierzyny i położenia geograficznego – z dala od skupisk rolniczej ludności i wielkich miast, leżąca na pograniczu krajów i narodów, ukryta wśród bagien – przetrwała. Ciężko okaleczona, ograbiona z drzew i ze zwierząt, ale we współczesnej Europie jedyna przypominająca jeszcze prapuszczę, która sześć tysięcy lat temu otulała Niż Europejski od Karpat po Bałtyk.

Na oczach naszego pokolenia rozgrywa się ostatni akt jej dziejów.

Łowcy mamutów i reniferów

Nadeszła wiosna. Zimniejsza niż wszystkie ubiegłe, choć i tamte od dawna już nie dawały ciepła podtrzymującego życie drzew. Lodowate podmychy smagały umierający las. Tu i ówdzie sterczały kikuty rozłożystych dębów i lip, leżały obalone sosny, ale w poszyciu brak było młodego pokolenia. Tylko w wierzbach, brzozach i świerkach tliło się jeszcze życie. Stopniowe, od tysięcy lat postępujące oziębienie klimatu nabrało pędu. Coraz szybciej i szybciej nowe połacie Europy znikwały pod lodem – tym nadchodzącym z północy i tym sunącym jezorami z gór południowych.

Przez cmentarzysko drzew i niskiej roślinności szedł, kulejąc, samotny mamut; droga wędrowki stada dziewięciu olbrzymów, uchodzących spod Gwiazdy Polarnej w cieplejsze okolice, stała się szlakiem donikąd – jak kamienie milowe znaczyły ją zwłoki zwierząt ciemniejące wśród mszarów i wpółzamarzniętych błot.

Mamut skrył się w wierzbowym zagajniku. W gąszczu gałęzi prześwituje czterometrowej wysokości cielsko okryte długim, ciemnobrunatnym, miejscami rudym włosem z wełnistym, zwartym podbiciem chroniącym przed mrozem. A jednak zwierzę drży; śnieg z deszczem, bezlitośnie padający od wielu dni, dawno przemoczył sierść pozbawioną ochronnej warstewki tłuszczu i spływa teraz po skórze. Wilgoć już nie paruje po zetknięciu z przechłodzonym ciałem, a rozmiękłe w błocie i popękane płytki rogowe



Legenda

- Miejscowości, osady
- + Miejsca zabytkowe
- Sasnowe Uroczyska
- Linie Rzeki
- Zasięg Puszczy Białowieżskiej w Ordynacji z 1639 roku
- Wypólczenia granicy lasu
- Odsłonięcie Puszczy w czasie rosyjskiego zaboru

Lokalizacja miejsc wymienionych w opowieści

nie chronią obolałych stóp stworzonych do chodzenia po twardym i suchym podłożu. Brak waju z tłuszczu na szczycie łba stromo opadającego ku karkowi i ostro sterczące kości mówią o wycieńczeniu olbrzyma. Tylko sto czterdzieści kilogramów wspaniałych, kremowobiałych ciosów, dumnymi kołami skierowanych ku niebu, świadczy o minionej potędze gatunku.

Mamut ospale żeruje. O tej porze roku jego organizm tęskni do zielonych traw i leśnych ziół, lecz tych już nie napotka. Jest też zbyt słaby, by napierając swymi ogromnymi zębami siecznymi, obalić wyższe od siebie drzewo i dosięgnąć pączków listowia. Poprzestaje więc na gałązkach niewielkich świerków, wierzb i na mchu porastającym kępy wśród błot. Czubkiem trąby odrywa pęd po pędzie, podaje do pyska i powoli żuje.

Na sporym wyniesieniu królującym wśród błot na moment zamajaczyło kilka odzianych w skóry dwunogich istot – wygłodzona horda spostrzegła mamuta. Wgnana lodowcem schodzącym z gór południowych, opuściła swe jaskinie, by na szlaku Wielkiej Ucieczki łowić drobną zwierzynę. Lecz w krainie ginącej w uścisku lodowca zabrakło żywej zdobyczy. Zniknęły wilki i lisy wskazujące drogę do ostatniego źródła pokarmu – mamutów padłych w umierającym lesie.

Za osłoną pagórka horda czeka na powrót zwiadowcy. Wrócił, przysiadł na piętach, gestykuluje, pokrzykując w wielkim podnieceniu: mamut jest sam, jest chory, nie może uciekać zbyt szybko. Lecz wielki jak góra jest groźny jak śmierć. Wódz krzywi oblicze. Patrzy na towarzyszy. Dzierżą potężne maczugi, a za rzemieniami podtrzymującymi odzienie tkwią noże, jednym celnym uderzeniem odłupane od rdzenia krzemiennej buły. Ciężkie kamienne topory o ostrych krawędziach leżą tuż obok, a jednak oczy mężczyzn umykają spojrzeniu wodza; horda jest słaba. Nie wyzwie kolosa do walki wręcz. Lecz głód żąda mięsa... Wódz zdecydował: nagonić zwierza na rozpadlinę!

Czternastu mężczyzn i osiem kobiet rozbiega się chyłkiem po lesie, by w pobliżu mamuta wyskoczyć z ukrycia, miotaniem toporów i krzykiem zmusić go do biegu. Olbrzym uniósł trąbę i ruszył ciężkim galopem. Pod naporem potężnego ciała padają brzozy i świerki, spod nóg tryska błoto. Przeskoczył kłodę, jedną, drugą. Przez chwilę

był sam. Zwolnił biegu, gdyż krwawa zasłona zmęczenia zmaćla mu wzrok. Znów nienawistne stworzenia były tuż obok. Świsnęło powietrze – w nasadzie trąby głęboko utkwiał klin topora. Rozległ się ryk bólu. Ziemia umknęła spod nóg i mamut ciężko zwałił się w rozpadlinę. Próbował wstać. I wtedy obsiadła go horda; dźgany, cięty, uderzany – umierał. W ostatnim odruchu przewalił się na bok. Wódz krzyknął i znikł przygnieciony olbrzymim cielskiem.

W pobliżu ogniska piętą się zwały mięsa, okrwawione żebra i potężny łeb wsparty na bielejących obręczach ciosów. W miejscu trąby zieje krwawa jama. Wschodzące słońce ukazuje mężczyzn w uprzęży z mamuciej skóry powoli wlokących wielką, kamienną płytę. Na szczycie pagórka ciemnieje prostokątny wykop o ścianach umocnionych równo ułożonymi głazami. Na jego dnie spoczywa człowiek. Leży na boku, ma podkurczone ręce i nogi, przy twarzy czernieje krzemienny topór. Do grobu podchodzi kobieta, z zawiniątka uwiązanego przy pasie dobywa garściami czerwoną, sproszkowaną glinę i posypuje nią twarz i tors zmarłego. Ma ciemne oczy, głęboko osadzone pod mocno zarysowanymi łukami brwiowymi, niskie czoło uciekające ku krągłej potylicy i krótką szyję wbitą w ramiona. Po jej policzkach spływają łzy.

Upływały dziesiątki tysiącleci. Śmierć kilometrową warstwą pokryła ziemię. Tylko hulający wiatr rzeźbił lodowe fale na powierzchni całunu, tylko tarcza księżycza i blade słońce spoglądały na białą pustynię. Łądolód cofał się i atakował. W swych wędrówkach prznosił odłamy skał wyrwane z dalekich gór. Żłobił i wchłaniał w swe cielsko napotkane podłoże. W odwrocie tryskał rzekami i przy wtórze łoskotu mielił i wyrzucał z swych trzewi obłe głązy-wałuny, szarozielone i ugrowe gliny, czerwonawe żelaziste piaski i ily, aż dwudziestometrową warstwą pokrył ślad ludzkiej mogiły. W końcu postarzał się biały morderca. W ostatnim ataku sięgnął już tylko północnej krawędzi wielkiego Nizu Europejskiego.

Na przedpolu lodowca króluje stepotundra, a na niej wre życie. Najdalej na północ zapuszczają się stada wołów piżmowych, nosorożce włochate i renifery. Na niezmiernych przestrzeniach pasą się stada koni i garbonosych suhaków, w gęstwinie żerują prazubry i jelenie

o olbrzymim porożu. Nocami słyhać ryk niedźwiedzia jaskiniowego, wycie wilków, poszczekiwanie pieśców i lisów.

Wskroś tundry wędruje samotny łowca reniferów. Jest wysokim, zgrabnie uformowanym chłopcem. Nad ledwie zarysowanymi łukami brwiowymi wznosi się niewysokie, proste czoło myślącego człowieka. Przez ramię przewieszony ma łuk i uczepiony na rzemieniu pęk strzał o kamiennych grotach. U podstawy mocno osadzonej szyi lśni naszyjnik z dwudziestu lisich i wilczych zębów. Przy pasie zwisa ucięty z dwóch stron róg tura kryjący narzędzia wykonane w czasie samotnych wieczorów: ostre dęto wyczarowane z goleni renifera, z rączką wyrzeźbioną na kształt głowy sowej, i drugie z kości jelenia o ostrzu szerokim na palec, szydło z łbem końskim o rozwianej grzywie i szydło z okrągłej kości ptaka, płaski ośmioząbkowy rylec z goleni kozła – znakomity do rzeźbienia w glinie, duża, łukowata igła z otworem do przewlekania rzemyka wykonana z żeberka suhaka. Ten skarb, przydatny w wielodniowej wędrówce, będzie darem dla dziewczyny, która zegnała chłopca, a czeka na powrót mężczyzny – łowcy, samodzielnie zdobywającego zwierzynę.

W promieniach rannego słońca stado reniferów skubie zioła porastające tundrę. Chłopiec, dzierżąc pęk strzał, przesuwa łuk z ramienia na plecy, przywiera do ziemi i niby wąż pełźnie wśród niskich krzewów wierzbowych. Omija grupę samic z młodymi. Ostre, pokręcone gałęzie boleśnie smagają ramiona. Młody myśliwy powoli zbliża się do żerującego na uboczu dorodnego byka. Wtem o coś zaczepił. Szarpnął się lekko, uwolnił i przerażony głośnym szelestem uniósł głowę – renifer, odwrócony, niczego nie zauważył. Łowca nie przerywa podchodu, jest już tak blisko, że czuje woń zwierzęcia. Powoli unosi się i klęcząc na jednym kolanie, napina łuk. Świsnęło i strzała utkwiała w sercu ofiary.

Łowca jest gotów do drogi powrotnej. Na ziemi leży zwinięta skóra renifera, a w niej najlepsze kawały mięsa. Teraz należy zaszyć brzegi pakunku i przytroczyć sterczące licznymi odnogami poroże. Ręka młodzieńca sięga do pasa – zamiast pojemnika z narzędziami dłoń napotyka zerwany rzemień...





Fauna epoki lodowcowej

Ostatni milion lat historii Ziemi, zwany czwartorzędem, dzieli się na plejstocen i holocen. W plejstocenie lądolód czterokrotnie atakował Europę. W przerwach między zlodowaceniami na terenach dzisiejszej Puszczy Białowieskiej panował klimat umiarkowanie ciepły. Największe zlodowacenie (tak zwany Mindel) objęło cztery i pół miliona kilometrów kwadratowych Europy. W Polsce płaszcz lodu oparł się o Sudety i Karpaty, gdzie spotkał lodowce schodzące z gór. Na terenie przez niego objętym wyginęły wszystkie rośliny i zwierzęta.

Ostatni lądolód (Würm) zagarnął dzisiejsze pojezierza: Mazurskie i Suwalskie. Na jego przedpolu uformowała się stepotundra. Ustąpił około dwunastu tysięcy lat temu, pozostawiając po sobie Bałtyk. Z tą chwilą rozpoczął się holocen – w którym żyjemy.

W Europie mamuty wymarły w późnym plejstocenie.

Człowiek neandertalski pojawił się w Europie ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat temu, wyginął z niewiadomych przyczyn przed czterdziestoma tysiącami lat. Okres ten zwany jest paleolitem – epoką kamienia łupanego.

Z paleolitu środkowego (100–40 tysięcy lat p.n.e.) zachowały się ślady kultury mustierskiej, charakteryzującej się umiejętnością niecenia ognia, różnorodnością kamiennych narzędzi i pochówkiem zmarłych. Pierwotny człowiek miał pod dostatkiem leżących na powierzchni ziemi potężnych buł krzemiennych. Był to znakomity materiał na naj-

prostsze narzędzia codziennego użytku (tłuki, topory, siekiery, skrobacze, noże – w postaci długich, ostrych wiórów) produkowane metodą odłupywania zbędnych części od nukleusów – rdzeni krzemiennych brył.

Neandertalczyk zamieszkiwał jaskinie skalne i jaskinie wykopane przez siebie w ziemi – najczęściej w zboczach nad rzekami. Nie znał ani uprawy roli, ani hodowli bydła. Prowadził życie wędrownego łowcy. Polował na rozległych, podmokłych tundrach, na suchych, gorących stepach i w mrocznych puszczech. Na początku ubiegłego stulecia w północnej Ukrainie odnaleziono wyłożony gładzami grób człowieka z paleolitu.

Około trzydzieści pięć tysięcy lat temu (koniec neolitu) Europę zasiedlał człowiek rasy kromanionńskiej (nazwa od znalezisk w jaskiniach koło Cro-Magnon we Francji, gdzie odkryto szkielety ludzi z kultury oryniackiej) – nasz przodek. Dawniej sądzono, że zamieszkiwał wyłącznie jaskinie. Nowsze odkrycia archeologiczne wykazały, iż wykorzystując między innymi kości mamutów, budował długie, wielorodzinne domy kryte wspólnym dachem.

Z neolitu pochodzą najstarsze z dotychczas odnalezionych ślady obecności człowieka w Puszczy Białowieskiej. Są to narzędzia krzemienne i fragmenty naczyń ukryte w piaszczystych wydmach nadrzecznych oraz wyorywane pługiem kamienne toporki i groty. W 1923 roku archeolodzy odkryli ślady dwóch osad; w pierwszej, leżącej na prawym brzegu Narwi, niedaleko wsi Rudnia, znaleziono skorupy naczyń, krzemienne skrobacze i nożyki. W drugiej, położonej na południe od bagien Dzikiego Nikoru, zachowały się narzędzia kamienne oraz krzemienne groty strzał i sześć nożyków. Osady te datowano na młodszą epokę kamienną.

Jednym z najważniejszych sposobów zdobywania pożywienia przez ludzi neolitycznych, prócz zbierania roślin, było łowiectwo. Zabijanie zwierząt dostarczających mięsa, skór oraz ścięgien i kości nie było proste. Najczęściej więc polowano gromadnie z naganką. Zdarzały się jednak też samotne łowy – o czym opowiadają skalne malowidła pochodzące z tamtej epoki. Człowiek w tym czasie jeszcze nie udomowił psa – najwierniejszego pomocnika myśliwego. Udoskonalił jednak

sprzęt myśliwski i wynalazł luk – prostą broń skutecznie rażącą z dużego dystansu. Sądzi się, że tego rewolucyjnego wynalazku dokonano w Afryce Północnej, skąd drogą wiodącą przez Półwysep Pirenejski jakieś dwanaście tysięcy lat temu przedostał się do Europy.

Kromanieńczyk zostawił po sobie bogactwo broni oraz narzędzi wykonanych z gładzonych, wierconych i polerowanych kamieni, kości rogu (często łączonych ze sobą). Jako surowca używał kamieni, które łatwo się łupią i poddają obróbce: obsydianu, kwarcytu, diorytu, a przede wszystkim – krzemienia. Nie korzystał już jednak z brył leżących na powierzchni ziemi, zwietrzałych od słońca i wiatru. Sięgał w głąb do złożów mających w sobie „wilgoć” i dających się łatwo obrabiać.

Lepił z gliny i ozdobił naczynia. Ubierał się w skóry zwierząt, pozbawione sierści za pomocą ostrych skrobaczek, wyprawione, odpowiednio przykrojone i zszyte skręconymi jelitami. Lubił też ozdoby – nosił naszyjniki z przewierconych zębów zwierząt, rzeźbionych płytek kostnych, muszli i barwnych kamyczków.

Na początku XX stulecia archeolog Józef Choynowski odnalazł na terenach południowo-zachodniej Rosji szereg narzędzi i ozdób, a wśród nich róg tura zawierający komplet podręcznych przyrządów codziennego użytku.

Kromanieńczyk stworzył podwaliny religii (kult Matki-Bogini) i kultu zmarłych. Wynalazł sztuki piękne. Nieodścigła oszczędność środków wyrazu, realizm, umiejętność uchwycenia ruchu, dojrzałość artystyczna rzeźb i rytów wykonanych w kości i rogu oraz rysunków i wielobarwnych malowideł naskalnych budzą podziw i zazdrość współczesnych artystów. Głównym tematem twórców-łowców były zwierzęta. Wśród ponad trzystu gatunków zidentyfikowanych przez zoologów ssaków, ptaków i ryb są: mamuty, renifery, tury, prażubry, niedźwiedzie, tarpany, jelenie, antylopy, strusie, foki, węgorki, lisy, rysie i wilki. Zwierzęta biegają, pasą się i zalecają do siebie. Wśród nich pojawiają się też sylwetki myśliwych zaopatrzonych w łuki i dzidy.

Dzięki tym swoistym „atlasom zoologicznym” dowiadujemy się, jak wyglądały gatunki, które nie dotrwały do naszych czasów. Zastanawiamy się na przykład, dlaczego na wszystkich wizerunkach konie przedstawiane były z dużą, nieforemną głową. W zarozumiałstwie uznano,



Koniki polskie

że jest to wynik niezręczności rysownika. Wreszcie odnaleziono szkielety koni paleolitycznych; i cóż się okazało? „Prymitywni jaskiniowcy” po prostu wiernie oddali naturę.

Puszcza



Ryś w puszczańskim mateczniku

Pięć tysięcy lat minęło od czasu, gdy lądolód wycofał się w swe pierwotne leże – szczyty gór na północy. Uchodząc przed promieniami słońca, stopniał na całej powierzchni, bluzgał i spływał strugami, przesiąkał ziemię. W odwrocie napęniał wodami wielką kotlinę u stóp Skandynawii tak długo, aż stworzył słodkie morze, szerokim ujściem wlewające się do oceanu. Na uwolnionej ziemi wszechwładnie zapanowała woda. Tworząc szeroko rozlane rzeki, pracowicie rzeźbiła dziewiczą ziemię, jeziorami wypełniała niecki i zagłębienia, tworzyła mokrzary i bagna. Na bezkresnych równinach Europy Wschodniej, niby wyspy na oceanie, ciemniały wyniosłości dające ostatnie schronienie zwierzętom i ludziom w ich ucieczce przed potopem.

Wreszcie wód zaczęło ubywać. Korytami rzek bystro spływały do mórz i jezior, przesiąkając grunt, zasilając podziemne strumienie wysysane korzeniami roślin, uchodziły w powietrze. Po każdym lecie nowe połacie ziemi coraz szerszym pierścieniem otaczały wzniesienia. Na płaskowzgórza powrócił las; zazieleniły się modrzewie i sosny, zarośla olszyny okryły brzegi rzek. Klimat się ocieplał – dziesięć stuleci starczyło, by zaszumiały dąbrowy, zapachniał kwiat lipy, a kolumnada jesionów znalazła odbicie w nieruchomych wodach zastoin.

Narodziła się prapuszcza. Wsparta o nagie zbocza Karpat, sięgająca Bałtyku, pulsująca rzekami i strumieniami, oczami jezior spogląda w gwiazdy. W północno-wschodniej części Europy, na rozległej równinie wyniesionej sto siedemdziesiąt metrów nad poziom morza, zamknięte w objęciach dwóch rzek bije jej serce, jeszcze bezimienne. Miną wieki, zanim usłyszysz swe imię – Puszcza Białowieska.

W głębi ziemi, pod jej korzeniami leży gruba, promieniejąca magiczną, dobrą energią warstwa skał kredowych – pozostałość istniejącego tu niegdyś pramorza. Na niej spoczywają różnej miąższości gliny, płaskowzgórza i kopuły z piasków, żwirów i kamieni. W dolinach rzek i strumieni, pod zbitym dywanem torfów, kredowe bogactwo margli zalega tak płytko, że ludzie, którzy tu się osiedlą, sięgać będą do nich, by bielić wnętrza swych chat. Na powierzchni gliniasto-piaszczystego podłoża spoczywa gleba – zależnie od miejsca – bielica, gleba brunatna, płowoziem, mady rzeczne lub czarne ziemie leśne, a na niej lekka, urodzajna próchnica. Przez tysiąclecia powstawała z resztek obumarłych roślin i zwierząt, karmiła nowe życie, rodząc i grzebiąc kolejne generacje ziół, krzewów i olbrzymich drzew.

Podłoże lasu przerośnięte gąszczem korzeni, korzonków i kłaczy rytmicznie pulsuje wilgocią. Na przedwiośniu każdego roku przybiegają wody w splątanej sieci puszczańskich rzek, rzeczek i strumieni. Zasilone topniejącym śniegiem, szeroko, rozlewnie zagarniają połacie lasu, nasączają ziemię, wypłukując sole mineralne ze ściółki leśnej, wzbogacają podziemne magazyny, podnoszą poziom wód gruntowych. Po letnich suszach lustro wód podziemnych stopniowo opada, aby po kolejnych roztopach znów gwałtownie wznieść się ku powierzchni.

Pod stopami suchych, pachnących igliwem borów sosnowo-świerkowych i borów mieszanych wody gruntowe ukryte są na głębokości nawet czterech metrów, a ich roczne wahania obejmują niewiele ponad pół metra. Pod lasem dębowo-grabowym woda zalega płytko – tylko metrowa warstwa gleby dzieli ją od zielonego runa, za to intensywnie pulsuje: rokrocznie nawet o dwa metry wznosi się i opada. W olsach, łągach przystrumykowych i w borach bagiennych jej nieruchome lustro przez większą część roku prześwituje wśród splątanych korzeni drzew i kęp roślinności skrywających pod sobą grzaskie, zdradliwe topiele.

Każdej zimy już w listopadzie lub w grudniu bezlitosny mróz zaciska swe kleszcze, zamieniając ziemię w kamienną opokę; im głębiej ukryta jest woda, im cieńsza warstwa mchów, ściółki i śniegu, im mniej odwilży – tym głębiej sięga zmarzlina. W corocznych zmaganiach wiosny ze słabnącą zimą pierwszy ustępuje śnieg, po nim puszczałą szkli-

ste okowy w borach i grądach. Najdłużej – nieraz aż do maja – nie poddaje się zmarzlina torfowisk i lasów łągowych.

Przygodnemu wędrowcy Puszcza ukazuje bajecznie stare oblicze. W którą stronę spojrzy, wszędzie napotka kolumnadę potężnych gonnych pni wysoko u góry zwieńczonych zielonymi koronami. Z każdego załamka głęboko spękanej kory dębu, z każdej dziupli, z każdego osnutego mgłami bagniska tchnie pamięć dawno minionych lat. Baczne oko, wśród armii matuzalemów, wnet jednak wypatrzy, a to kępę lipowej młodzieży niesforne stłoczonej na pełnej światła polanie, a to młodnik sosnowy żywą zielenią przysłaniający resztki pożaryska, a to wiotkie siewki graba wyrosłe wprost z pokrytego mchem murszywego szczątku dawno zmarłego pradziadka.

Puszcza nigdy nie była i nigdy nie będzie stara. Ona, nieporuszona w swym ponadczasowym majestacie, trwa w opływających ją tysiącleciach wciąż tak samo żywotna. W sobie właściwym rytmie rodzą się, dojrzewają, starzeją się i zamieniają w proch kolejne generacje drzew i jednoroczne zioła. Jesienne wichury, letnie burze, zimowe okiście w mgnieniu oka zamieniają całe jej połacie w spiętrzone rumowiska połamanych pni i konarów. Z upływem czasu rany zblizniają się i pokrywają zielenią nowo narodzonego życia.

Na każdym rodzaju gleby, zależnie od wodnych zasobów, wyrasta nieco inny las – zawsze jednak jest to różnorodność wielu gatunków drzew, krzewów i krzewinek, traw, turzyc i ziół, mchów, porostów, grzybów...

Oto najszlachetniejszy z lasów – puszczański grąd. Wyrasta na podłożu gliniastym, najczęściej na żyznych glebach brunatnych oraz płowoziemniach. Wprawdzie wody gruntowe zalegają ukryte głęboko, lecz trudno przesiąkliwe gliny sprzyjają ich okresowemu magazynowaniu w zasięgu korzeni. Przestrzeń między dnem grądu a błękitem nieba wypełnia zielone bogactwo. Nad wszystkim górują, jak wieżycy i baszty, czuby najstarszych świerków, dębów, jesionów i lip. Pod nimi rozpościera się dach lasu zbudowany z koron klonów, grabów, wiązów, brzoź, a niekiedy i olsz. Krok w dół i oto królestwo leszczyny, trzmieliny i pnącego się ku światłu młodego pokolenia drzew. Tłoczno jest również na samym dnie grądu; tu królują byliny: kępy bujnych traw i paproci, łany podagrycznika, pokrzyw i czosnku niedźwiedzie-

go, jaskier kosmaty, kokorycz. Niżej rosną zastępy gwiazdnicy wielkokwiatowej, gajowca żółtego, groszku wiosennego, turzycy orzęsionej i skrzyphu. Miejscem przy samej ziemi zadowolają się kopytnik, miodunka ćma, przylaszczka, majownik dwulistny, szczawik zajęczy, fiołek leśny.

Płaski dotychczas teren nieco się wypiętrza i wygląd lasu się zmienia – wokół szumi bór mieszany wyrosły na glebach skrytobielicowych. W wielkiej zgodzie rosną tu pospołu grupy wiekowych sosen i świerków, dęby, osiki, brzozy i graby. Pod ich koronami chronią się leszczyny i młodzież cienioznośnych drzew. W runie, obok roślin grądowych, zieleni się perlówka zwisła, turzycza palczasta, zawilec gajowy, gwiazdnica wielkokwiatowa, borówka brusznica i czernica, gruszyczki, siódmaczek leśny, paproć orlica, jastrzębce, nawłóć zwyczajna, konwalia majowa, a tuż przy ziemi ciemniej zwały się płaty mchów.



Borsuki w borze mieszanym

Teren opada, przechodząc w zatorfioną nieckę ze stagnującą wodą – to białowieski ols. Gospodarzem jest tu olsza. Na niewielkich utworzonych przez nią kępach, kurczowo trzymając się twardszego gruntu, rosną pojedyncze świerki i brzozy omszone. Szarzeją pnie gonnych jesionów. Podszyt tworzy kruszyna, jarzębina, wierzba, łoża i młode świerki. W kotlinkach, wiosną i latem wypelnionych wodą, znalazły schronienie rośliny błotne: psianka słodkogórz, karbieniec, liczne turzycy, kosaciec żółty, wodolubne gatunki paproci. Na kępach, u nasady pni tulą się: szczawik zajęczy, majownik dwulistny, borówki, widłaki i mchy.

Leniwie tocząc nurt, kryjąc brzegi w gąszczu szuwarów, płynie puszczańska rzeka. Jej dolina, rokrocznie nawożona namułami wylewów, utworzyła żyzne łągi, bujnie porośnięte wierzbnymi. Tu i ówdzie krzewi się leszczyna, szakłak, trzmielina zwyczajna, jeżyna. Gałęzie oplótlł chmiel, biało kwitnący kielisznik zaroślowy, rośliny runa spowija pasożytnicze pnącze – kianianka. Dostępu do rzeki bronią zwarte łany pokrzyw.

Wysoko w górze krąży orzeł. Spogląda w dół na błękitne pasmo wijącej się wody, na zwarty, nieprzenikliwy dla oczu kobierzec Puszczy utkany wszystkimi odcieniami zieleni.

Pod okapem liści i konarów wre życie.

Dzikie pszczoły szumiącym rojem obsiadły wiedzącego gdzie szukać miodu „miedwiedza”. Ten, nie zważając na żądła, pcha kosmatą łapę w głąb barci. Pod ciężarem zwierza trzeszczy zmruszała lipa. Runęła, chmurą próchna sypnęła w oczy rabusia. Prychnął, przetarł ślepią, zakrzywionymi pazurami grzebie w rumowisku drewna, wyłuskując plasty, młascząc, pożera miód, pyłek, larwy wraz z woskiem i oblizawszy łapy – odchodzi. Jeszcze wśród drzew majaczy przewalające się z boku na bok cielsko, jeszcze wściekle brzęczą ostatnie wojownice.

Na rozstłonecznionej polanie samica tura pochyliła rogaty łeb i szorstkim ozorem myje cielaka. Miarkuje swe siły, a jednak turzatkanko przy każdym liźnięciu chwije się na swych grubych, węzlastych nogach, w końcu umyka pod czarny brzuch matki i, tak ukryte, sięga wymienia. Krowa uniosła głowę i słucha – niedźwiedź, poczuwszy woń tura, łukiem omija polanę.

W bezwietrznej ciszy słycać łoskot padającego drzewa. Dwa grubasy o lśniących futrach, wsparte na płaskich, nagich ogonach ogryzają pędy z czubka osiki obalonej tak celnie, że koroną sięgnęła lustra wody. Na szczycie tamy rozdzielającej leniwie płynącą rzeczkę od szerokiego rozlewiska, wśród mocno splecionych gałęzi i korzeni, baraszkują bobrzęta. Spychają się i wdrapują na tamę, próbują w zapasach. Jedno ze zwierząt pracujących na brzegu stanęło słupka, opadło na łapy i nieśpiesznie poczłapało do wody. Za nim podążył drugi bóbr. Głośno, ostrzegawczo klasnął o wodę ogon i małe zniknęły z tamy. Z krzewów porastających brzeg rzeki wyłonił się niedźwiedź. Obwąchał bielejący ostrosłup ściętego pnia, ślady łap i ogonów odbitych w błocie, napił się, otrzepał, z futra na pysku zgarnął łapą kilka pszczoł, zawrócił i odszedł.

Przed kilku laty pożar rozniecony piorunem strawił połać starego boru. Dziś w tym miejscu, korzystając z obfitości światła, rosną zastępy małych sosenek i traw. Tylko resztki zwęglonych pni prześwitujące przez zieleń przypominają tragedię. Na środku pożarzyska pasie się tabun tarpanów. Klacze ze źrebakami spokojnie żerują pod czujną opieką ogiera, który z wysoko uniesioną głową, dumnie osadzoną na karku, tkwi nieruchomo na małym pagórku. Lekki wiatr rozwiewa mu ogon, czesze sztywno sterczącą, ciemną grzywę, gładzi krótką, myszszą sierść, znaczoną czarną pręgą wzdłuż grzbietu. Powiew przyniósł z od dali słaby zapach. Ogier rozdał chrapy, łowi wrażą woń. Zarżał, uderza kopytami przednich nóg o ziemię – ostrzegł swój harem i cały tabun rzucił się do ucieczki. Niedźwiedź, zajęty wygrzebywaniem gniazda pełnego nornic, usłyszał donośny tętent, uniósł łeb, powęszył i powrócił do przerwanej posiłku.

Wskroś pobliskich moczarów, od kępy do kępy, ostrożnie stawiając szerokie łapy porośnięte twardym, błyszczącym włosem, posuwa się kosmate zwierzę. Ma puszysty ogon, długie futro czernią okrywające grzbiet, brzuch i nogi, z dwoma jasnymi pasmami na bokach ciała, i szary czepiek sięgający oczu. Pod trzydziestopięciokilogramowym ciężarem ciała zwierzęcia ugina się zbita warstwa mchu porastającego skraj bagna. W śladach łap, o ostrych, długich pazurach, gromadzi się woda. Zwierz zbacza na twardszy grunt – choć żyje wśród moczarów, nie lubi błotnej kąpieli. Trafiał na ścieżkę zwierzyny. Teraz biegnie ga-

lopem. Pozornie niezgrabny, utyka, skacze nierównymi susami. Przystanął, węszy i nasłuchuje. Na pobliskim borówczysku głuszycy wodzi piskłeta. Zerka na boki i w górę, gdzie między koronami drzew prześwituje błękit i białe puchate obłoki. Wokół spokojnie, więc przysiadła i lekko opuszcza skrzydła. Małe, zwołane matczynym wabieniem, nikną w jej puchu. Zza osłony krzewów, przypląszczony do ziemi, wysuwa się drapieżca...

Wśród bagien, we wnętrzu obalonego drzewa, trójka młodych czeka na powrót matki. Dojrzały do opuszczenia gniazda, więc to jedno, to drugie lęklawie wysuwa z otworu płaski łebek o pysku porośniętym krótkimi sztywnymi włosami. Reszta ciała, okryta czarnym futrem z szarymi pasami na bokach, niewyraźnie majaczy w ciemnej głębi pnia.

Do mszaru powraca drapieżca. Osobliwie utykając i podskakując, to niesie, to wlecze trzymaną za szyję głuszycę. Tak jest zajęty zdobyczą, że nie zauważa wielkiego mrowiska na drodze. Rano, gdy pierwsze promienie słońca padły na kopułę, troskliwe opiekunki przeniosły bliżej ciepła dorodne poczwarki i larwy, lecz nie było im dane dożyć wieczora. Niedźwiedź, powracający znad rzeki, kilkoma ruchami łap rozgrzebał wierzch kopca z igliwia i czyści ozorem komory pełne białego przysmaku. Usłyszał szelest za plecami. Odwraca się z groźnym pomrukiem...

Na wprost kudłacza zamarł w bezruchu brunatnoszary drapieżnik. Już nie zdąży uciec na drzewo. Upuścił więc ptaka, lekko fałuje zjeżona sierść, ponurą determinacją lśni ślepiec, a ostre, silne zęby grożą zza uniesionych warg. Jeśli niedźwiedź zaatakuje, jego przeciwnik drogo sprzeda swe życie; przewrócony na plecy, pazurami wczepi się w brzuch wroga i straszliwymi kłami będzie wyszarpywać kawały mięsa.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Zwierzęta patrzą na siebie. Wtem fala odrażającej woni uderza w nozdrza niedźwiedzia. Odwrócił łeb z obrzydzeniem, zakołysał cielskiem, przestępując z łapy na łapę – nie jest w nastroju bojowym. Rosomak stoi w bezruchu, tylko gardziel drga w głuchym warczeniu. Wreszcie ujmuje szyję głuszycy, łukiem omija mrowisko i znika wśród bagien.

Topnienie ostatniego lodowca (około 12–10 tysięcy lat temu) wywołało zalanie całego terenu dzisiejszej Litwy, Rosji i Polski. Tylko najwyższe wzniesienia wystawały ponad wodę, dając schronienie ludziom i zwierzętom. Klimat szybko się ocieplał, wody parowały i odpływały nowo utworzonymi korytami rzek do mórz i większych jezior.

W początkach holocenu, w tak zwanym okresie preborealnym (od około dziewięciu tysięcy lat temu), na obsychające tereny wykroczył las sosnowo-brzozowy. Postępujące ocieplenie i obfitsze opady sprzyjały pojawieniu się (około siedmiu tysięcy lat temu – okres borealny) ciepłolubnych drzew liściastych (lipa, wiąz, dąb, jesion, grab) i krzewów (leszczyna). Po kolejnym tysiącu lat w Europie zapanowała prapuszcz, której dzisiejszą pozostałością jest jej znikoma resztką – Puszcza Białowieska.

Z tak zwanego okresu jeziorowego populacja ludzi żyjących na północno-wschodnim krańcu Europy wyszła zdziesiątkowana. Większość mieszkańców powędrowała na płaskowzgórza Karpat. Wiele wieków musiało upłynąć nim ludzie zeszli na obsychającą równinę, powiększyli się liczebnie, podzielili się na plemiona i wyruszyli na północ, w kierunku Bałtyku. Początkowo schronienie dawały pieczary i ziemianki drążone w spłachetkach suchej ziemi. Ich mieszkańcy trzymali się jezior i brzegów rzek oferujących obfitość łatwo dostępnego pożywienia i wiedli tak zwany byt rybołówów. Dowodzą tego znaleziska archeologiczne: skorupy słodkowodnych mięczaków i ości zwałami zalegające poblizze miejsc zamieszkania ludzi. W chronologii archeologicznej okres ten zwie się mezolitem.

Mieszkańcy puszczańskich obrzeży nie rzucali wyzwania wielkim zwierzętom żyjącym w dzikich ostępach. Na to byli jeszcze zbyt słabi. Również nie potrzebowali drewna. Nie znali też uprawy roli – roślinami użytkowymi były tylko kotewka, szczaw i lebioda, nie wydzielali więc Puszczy jej ziemi. Dlatego jest to jedyny okres w dziejach, gdy przyroda północno-wschodniej Europy rządziła się własnymi prawami, zwierzowi wyzwanie rzucał tylko inny zwierz, a liczba gatunków zależała od ich plenności, siły przeżycia i warunków klimatycznych. Już nigdy później Puszcza nie tętniła tak bogatym życiem roślinnym i zwierzęcym. Wycinany i wypalany raj z każdym stuleciem kurczył się,

a z jego mateczników odchodziły na zawsze kolejne gatunki ptaków i ssaków.

Jak wykazały badania paleozoologiczne, w Europie żyły dwie odmiany turów – dzikich protoplastów bydła domowego: tur duży (*Bos primigenius* Boj.) – opisany w początkach XVIII wieku na podstawie zachowanych szczątków kostnych przez wileńskiego profesora Bojanusa, oraz – wyróżniony na podstawie kilku czaszek odnalezionych w zbiorach muzealnych – drobniejszy tur, któremu lwowski uczoney Karol Malsburg nadał nazwę *Bos urus interglacialis minutus*.

W czasach historycznych na Mazowszu i Litwie żyły tury duże. Ich waga dochodziła do ośmiuset kilogramów, wzrostem sięgały prawie dwóch metrów, a długością – trzech. Jak potężne wrażenie musiał wywierać na ludziach ten zwierz, świadczy wciąż żywe powiedzenie: „chłop jak tur!”. Wygląd tura znamy dzięki starożytnym i średnio-wiecznym rycinom i opisom. Charakterystyczną cechą zwierza były mniej lub bardziej potężne, białozółte, skierowane ku przodowi rogi z ostrymi, podgiętymi ku górze czarnymi końcami. Samce o muskularnym, „byczym”, karku, wydatnym, obwisłym podgardlu, masywnym przodzie ciała i prostym grzbiecie były znacznie większe od samic. Sierść miały dość krótką, gładką i lśniąca. Umaszczenie starych byków było nieomal czarne, młodszych – brunatnoczarniawe z jaśniejszą pręgą wzdłuż grzbietu, cieląt – jasnobrunatne lub czerwone. Latem sierść była krótka i lśniąca, zimą – gęsta, znacznie dłuższa niż była. Wokół pyska jaśniała otoczka tworząca tak zwany sarni pysk.

Na czole, u nasady rogów miały tury wyraźnie wyodrębnioną kępkę kędzierzawych, rudawych włosów. Po staropolsku nazywano ją „turzywicher” i umieszczano na wszystkich wizerunkach zwierza – nawet na miniaturowych główkach zdobiących monety w XIII i XIV wieku. Panowało przekonanie, że grzywka ta, zdarta wraz ze skórą z żywego tura, ma moc talizmanu. W postaci pasa nosiły go monarchinie, wierząc, że ułatwia poród. Poseł cesarza niemieckiego Zygmunt Herberstein otrzymał w darze od królowej Bony dwa takie magiczne pasy. Jeden przekazał natychmiast do Wiednia. Cesarzowa „łaskawie go przyjęła”. O losach drugiego historia milczy



Tury były zwierzętami niebywale silnymi i – w odróżnieniu od żubrów – bardzo pobudliwymi i agresywnymi. Krowy z młodymi pędziły żywot stadny, byki – odludki, tylko w czasie rui, we wrześniu, na krótko dołączały do samic. Zażarte walki staczane przez samce często kończyły się śmiercią. Cielęta rodziły się wiosną – w kwietniu lub w maju.

Współcześnie żyjące bobry tworzą rodzinę wyjątkowo nieliczną, mającą tylko dwóch przedstawicieli: bobra europejsko-syberyjskiego i kanadyjskiego. Ten największy z gryzoni, dochodzący do czterdziestu pięciu kilogramów wagi (podobno spotykano osobniki ważące sto kilogramów!), jest zwierzęciem ziemno-wodnym. Pływanie ułatwia mu błona spinająca palce tylnych nóg, a mocne pazury przednich łap służą przytrzymywaniu pokarmu i grzebaniu w ziemi. Osobliwością, niespotykaną u żadnego innego ssaka, jest ogon: u samej nasady okrągły, przechodzi w spłaszczony, tępo zaokrąglony na końcu, ostry na krągłych, mięsisty, pokryty łuskami ster-wiosło. Gdy zwierzę przebywa na lądzie, jego uniwersalny ogon służy mu za podpórkę i siedzisko, a przednie łapy – jak u wszystkich gryzoni – przytrzymują jedzony pokarm. Bóbr jest mocnym, krępyim zwierzęciem, ma ostro ścięty pysk, małe oczka, nieduże uszy ukryte w futrze i wielkie, dziesięciocentymetrowe, pomarańczowe siekacze. Są one twarde jak stal i ostre jak brzytwa. Mając takie narzędzia pracy, bobry bez problemu ścinają drzewa dochodzące do siedemdziesięciu centymetrów średnicy. Futro składa się z gęstego, kręconego, jedwabistego podszycia i rzadkich, długich, sztywnych włosów okrywowych, jego barwa obejmuje różne

odcienie brązu, aż po czerni. Ogon jest ciemnoszary z niebieskawym nalotem.

Bobry są doskonałymi budowniczymi. Specjalizują się we wznoszeniu chat i przegradzaniu cieków wodnych zaporami. Za materiał służą im pnie, gałęzie, muł i kamienie. Budują głównie samice, samce zaś dostarczają odpowiedni materiał. Chaty, czyli gony (lub żeremia) wprawdzie z daleka przypominają stosy kołków i gałęzi, wewnątrz jednak są nader wygodne; składają się z oddzielnej izby mieszkalnej i magazynu żywności. Czasem zwierzęta poprzestają na norze wygrzebanej w brzegu rzeki, z otworem ukrytym pod wodą i stertą narzuconych patyków.

Bobry żywią się wyłącznie roślinami. Ich ulubionym pokarmem jest kora, liście i pędy wierzby, olch, topól i jesionów oraz części zielone kłacza roślin wodnych. Przed nadchodzącą zimą rodzina bobrza gromadzi w magazynach zapasy, a prócz tego zatapia większe drzewa, dalej albo bliżej miejsca zamieszkania. Gdy lód skuje rzekę, a gruba warstwa śniegu odetnie dopływ światła dziennego, zwierzęta, pozostając w całkowitej ciemności, bezbłędnie trafiają do zgromadzonych jesienią zapasów, za nic sobie mając tę najtrudniejszą z pór roku.

W Europie dożył współczesności tylko jeden gatunek niedźwiedzia – niedźwiedź brunatny.

Rekordowe osobniki osiągają dwa i pół metra długości i ciężar ponad dwieście kilogramów. Jest to zwierzę lubiące samotność. Swoje wyłączne prawa do rewiru znakuje, stając na tylnych nogach i drapiąc pazurami korę drzew; im wyżej, tym lepiej – aby ewentualny intruz zrozumiał, z kim zamierza zadrzeć. Niedźwiedź dnie przesypia w barłogu usłanym w największej gęstwinie, na żer wychodzi o zmroku. W całym bezludnych okolicach aktywny jest również w dzień – łązi po swym królestwie, buszuje w gąszczach dzikich malin, łowi ryby w wartkich strumieniach, przewraca zmurszałe pnie i ściółkę leśną w poszukiwaniu mysich i mrówczych gniazd, smakowitych larw i poczwerek, korzonków, bulw, grzybów i nasion, wygrzewa się w ciepłe promieni słońca. W maju lub w czerwcu romansuje z płcią odmienną.

Pod koniec lata apetyt niedźwiedzia rośnie niepomiarowo, a wraz z nim i zapasy tłuszczu gromadzonego w ciele. U progę zimy szuka

spokojnego kąta do spania. Mogą to być gęste młodniki, złomowiska powalonych drzew, skalne rozpadliny; w takim suchym, trudno dostępnym miejscu miś ściele gawrę. Jest to coś na kształt budy ułożonej z chrustu, traw i liści. W grudniu układa się w niej na długi, wielomiesięczny sen zimowy.

Co dwa lata, w styczniu lub w lutym, po ciąży trwającej około dwustu dni, drzemiąca w gawrze niedźwiedzica rodzi jedno lub parkę ślepych i bezradnych dzieci. Wielkością bardziej przypominają psie szczenięta niż przyszłe największe drapieżniki Europy. Wtulone w ciepłe futro matki, karmione do syta tłustym, pożywnym mlekiem, ani się domyślają, że poza gniazdem hula sroga zima. Gdy nadchodzi wiosna, kosmate, żwawe i figlarne misie opuszczają gawrę i wraz z rodzicielką wędrują po leśnych ostępach. Kudłaczki same z siebie nie zaczepiają człowieka, zagrożone starają się uciec jak najchżyżej, jednak takiej samicy lepiej nie stawać na drodze.

Niedźwiadki piją mleko przez cztery miesiące, a pozostają pod czułą opieką matki aż do jesieni następnego roku. Często się zdarza, że i później nie opuszczają rodziny, pomagając niedźwiedzicy w wychowywaniu kolejnych dzieci. Do rozrodu dojrzewają w czwartym lub w piątym roku życia, i wtedy już pędzą żywot samotników. Pełnię swych fizycznych możliwości osiągają w wieku 10–12 lat, pozostawione w spokoju, dożywają nawet pięćdziesięciu lat.

Rosomaka do dziś otacza ponura aura najbardziej krwiożerczego ssaka, jaki bytował w czasach historycznych na naszych ziemiach. Temu znienawidzonemu zwierzęciu polski myśliwy i hodowca zaprzysiął śmierć. I przysięgi niestety dotrzymał.

W XVI stuleciu tak opisywano wygląd i zachowanie rosomaka: „W Litwie jest zwierzę bardzo żarłoczne, nazwiskiem rosomak. Jest on wielkości psa, ma oczy jak kot, silne pazury, skóra długim brunatnym włosem pokryta, a ogon jak u lisa. Jeżeli nadybie ścierwo, to żre tak długo, póki mu się skóra na brzuchu jak bęben nie napręży, następnie przesuwają się pomiędzy dwa blisko siebie stojące drzewa, aby się co prędzej wypróżnić, co gdy nastąpi, powraca co rychlej do ścierwa, a najadłszy się, znów powtarza to samo, póki wszystkiego ścierwa nie zeżre. Zdaje się, iż więcej niczym się nie zajmuje, tylko żre, pije i...

Wszyscy ci, którzy noszą futra rosomakowe, zarażają się niepowściągliwą żądzą jadła i napoju”.

Oddajmy teraz głos myśliwym-naturalistom z pierwszej połowy XX wieku: „Rosomak nie miał sprzymierzeńców, bo wszystko, co zamieszkiwało tereny przez niego nawiedzane, cechował wysoce wrogi do niego stosunek. Już sam jego widok lub zapach doprowadzał potężniejszych reprezentantów naszych puszczy do bezgranicznej wściekłości, wśród drobniejszej i słabszej natomiast zwierzyny wywoływał nieopisaną panikę i przerażenie. Nawet drobne ptaki reagowały na jego widok i najprzeróżniejszymi głosami znaczyły szlak jego ucieczki”.

Czytajmy dalej, co też wyczyniała zwierzyna na widok tego mierzącego w kłębie pięćdziesiąt centymetrów, metrowej długości krewniaka borsuka i łasicy: „Łanie, sarny i lochy zabierały swe małe i kryły się w niedostępnych gąszczach naszych borów. Stary, o potężnych rosochach łos, który niejedną walkę miał już za sobą, stawał się niespokojny. Rozwarte chrapy, krwią nabiegłe oczy i nastawione uszy świadczyły o jego wściekłości i pogotowiu do odparcia ataku. Król naszych puszczy, zubr, potężnym rykiem (!) wyzywał przeciwnika do walki. Poorane jego rogami połacie ziemi, schlapane obficie pianą z pyska, były wymownym dowodem jego zamiarów. Nawet największy z naszych drapieżników, niedźwiedź, nie umiał zachować spokoju i na widok znienawidzonego zwierza próbował swych pazurów na otaczających drzewach, wydając przy tym z gardła dzikie i groźne pomruki. Jedynie tylko potężny odyniec, ufny w grubość swej skóry i niezawodność swych szablów, niewiele sobie robił z tego przeciwnika, choć głośnym fukaniem ostrzegał swych pobratymców o grożącym im niebezpieczeństwie. Ten drapieżny i okrutny zwierz był mistrzem w obronie i na szlaku jego ucieczki leżały gęsto trupy psów z wyszarpanymi gardłami i rozprutymi wnętrzościami. Bezcelność swoją posuwał nieraz tak daleko, że w osiedlach ludzkich porывał owce, świnie, psy, a nawet i dzieci...”.

Zaiste, straszny to musiał być potwór, jeśli potrafił zmusić do głośnego ryku – z natury rzeczy prawie nieme – zębry. Na szczęście to bajkowe monstrum w Puszczy Białowieskiej zostało dawno wytępione! Pozostała po nim stara polska legenda, głosząca, że po śmierci jego diabelska dusza wciela się w krwawego zbira nękającego ludzi.

Przypuszcza się, że ostatni na Niżu rosomak zginął na Wołyniu w Janowej Dolinie w roku 1882, karpacki zaś – w 1876 roku.

Rosomak, który – choć nieliczny – żyje do dziś w Skandynawii, na Syberii i na Alasce, jest klasycznym wręcz przykładem, jak *Homo sapiens* myli się w swych opiniach na temat istot żyjących w jego sąsiedztwie.

Do lat pięćdziesiątych XX wieku rosomak był gatunkiem najmniej zbadanym ze wszystkich ssaków europejskich. Pierwszą gruntowną pracę na jego temat zawdzięczamy austriackiemu zoologowi profesorowi Peterowi Krottowi. By poznać życie codzienne tych skrytych zwierząt, przez dziesięć lat mieszkał wraz z żoną na całkowitym odludziu w północnej Szwecji. Mało tego, wziął na wychowanie trzy małe rosomaki, oswoił je, a potem wypuścił na wolność. Plonem wieloletnich obserwacji stała się książka pod znamienym tytułem: *Demon of the Nord*.

Wynika z niej, że rosomak jest zwierzęciem czujnym i ostrożnym, dzielnym, zwinnym, szybkim i wytrzymałym. Aktywny jest o różnych porach dnia i nocy. Trzy- lub czterogodzinne okresy snu przeplata podobnymi okresami aktywności. Zimą nie przesypia jak jego krewniak – borsuk. Poluje głównie na mniejsze od siebie ofiary: gryzonia, gady, płazy, ślimaki, ryby i ptactwo. W sezonie lęgowym podbiera lęgi ptakom gnieźdzącym się na ziemi. W lecie wyszukuje gniazda os i larwy tych owadów stają się jego głównym pożywieniem. Jesienią zjada leśne owoce. Jedynie zimą poluje na większe zwierzęta i całkowicie przechodzi na dietę mięsną. Często podąża tropem wilczych stad (swych odwiecznych i groźnych wrogów) i pożywia się resztkami z ich polowań. Jest też nadzwyczaj wielkim amatorem padliny.

Okazało się, że rosomaki wcale nie prowadzą koczowniczego trybu życia. Każda rodzina, składająca się najczęściej z samca i dwóch–trzech samic z przychowkiem, ma ogromny, ale dobrze odgraniczony sygnałami zapachowymi obszar życiowy, na którym mieszka, poluje i którego broni przed pobratymcami. Każda z samic ma własny, nieco mniejszy rewir. Ciekawe, że zwierzęta nie toczą z sobą walk – najwyraźniej respektują prawa własności. Co dwa–trzy lata w lutym lub kwietniu samica rodzi 2–4 ślepe i bezradne rosomaczki. Z gniazda wychodzą one po ośmiu tygodniach, w pełni samodzielne stają się po dwóch latach i muszą opuścić terytoria rodziców.



Vielfraß.

Po raz kolejny czarne chmury ludzkiej niszczącej ekspansji
zawisły nad białowieską puszczą. Zakochana w niej
– drobna ciałem, ale wielka duchem – Simona Kossak,
pokonując swój cielesny niebyt, znów odważnie staje do walki
o dobro tego unikalnego zabytku.

Lech Wilczek

Simona Kossak wiedziała o puszczy niemal wszystko, kochała ją i broniła jej. Piętnowała ludzką głupotę i pazerność, protestowała przeciw bezsensowemu wycinaniu drzew. Była wojowniczką znaną z bezkompromisowości. Ale była też czułą mamką wielu dzikich zwierząt i odchowała ich немало: łosie, lisy, sarny, borsuki, dziki, kruka, bociany, żeby wymienić tylko kilka gatunków. Starła się przywrócić je naturze. Tylko ona mogła napisać tę Sagę, opowiedzieć historię puszczy od czasów prehistorycznych po wydarzenia najnowsze. Ludzie schodzą w tej opowieści na dalszy plan, króluje za to przyroda – piękna, fascynująca i zagrożona.

**To nie tylko zapis wspaniałości natury,
lecz także wołanie o opamiętanie,
póki jeszcze nie wszystko stracone.**

SIMONA KOSSAK (1943–2007) – biologka z tytułem profesora i miłośniczka przyrody. Szefowała Instytutowi Badawczemu Leśnictwa w Białowieży. Przez całe życie napisała setki artykułów o przyrodzie. W 2000 została uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi. Autorka bestsellerowej książki *O ziołach i zwierzętach* (Marginesy 2017).

cena 44,90 zł

www.marginesy.com.pl



9 788365 973405